

# Trzy porcje rozrywki

**T**RZEBA by tytuł felietonu rozszerzyć: trzy porcje dobrej rozrywki. I trzy jakże różne propozycje literatury rozrywkowej i teatru rozrywkowego.

Trzeba zacząć od „Seansu” zmarłego przed siedmiu laty angielskiego komediopisarza, aktora, muzyka i scenarzysty Noela Cowarda; komedię tę zrealizował w Teatrze Małym — Adam Hanuszkiewicz, zaskakując raz jeszcze — tym razem na szczęście przyjemnie — zarówno krytykę jak i widownię. Sztuka grana już była w Warszawie w kilka lat po wojnie w ówczesnym Teatrze Klasycznym, prowadzonym wówczas przez znaną przedwojenną aktorkę Marię Gorczyńską i Michała Rusinka. Jest to bardzo dowcipnie opowiedziana historia pewnego seansu spirytystycznego i jego następstw — zabawnych perypetii z dwiema zmaterializowanymi eks-żonami znanego pisarza, z arcydowcipną pointą. Gatunek utworu zwalnia od obowiązku „streszczenia” akcji i omówienia „problematyki”. Zamiast tego — dla zachęty — wystarczy tylko powiedzieć, że pierwszą, „zmaterializowaną” na seansie przez Madame Arcati (Bohdana Majda) żonę jest cudowna jak zawsze a tu jeszcze przepyszna komediowo Zofia Kucówna, a drugą żonę, która dopiero „w zaświatach” zaprzyjaźniła się ze swą rywalką, gra z równie dyskretnym komizmem i niezbędną dla tej niegroźnej „makabreski” umownością — Ewa Żukowska. A występują jeszcze w tym świetnym przedstawieniu Henryk Machalica (Karol), Kazimierz Wichniarz i Janina Nowicka (malżeństwo Bradman) i Marlena Miarczyńska, która w charakterze sprytnej pokojówki tylko pozornie wywodzi w pole swe dwie rywalki.

Druga porcja rozrywki, to nowa inscenizacja „Opery za 3 grosze” Brechta w Teatrze „Ate-neum”.

To już piąta po wojnie realizacja tej sztuki na warszawskich scenach: dwie inscenizacje Konrada Swinarskiego w 1958 roku w Teatrze Współczesnym, przedstawienie Jerzego Rakowieckiego (w 1967 r.) w Teatrze Ludowym, w trzy lata później prezentacja tej sztuki w Teatrze Narodowym w reżyserii Jana Maciejowskiego. Poza tym Warszawa mogła obejrzeć (najwcześniej) najbardziej „Brechtowską” inscenizację, bo dokonaną przez autora, w 1949 r. podczas występów Berliner Ensemble, jak również podczas gościnnych występów praskiego Teatru Buriana „D 34”. Najbliższa angielskiego pierwowzoru „Opery żebraczyj” Gaya była inscenizacja praska, zrobiona w manierze „ballady podwórzowej”, w tym też kierunku poszła inscenizacja Rothauma we Wrocławiu, nasycona jednak akcentami Brechtowskiej umowności i pasji demaskatorskiej. Najdalej od Gaya i od Brechta była realizacja Rakowieckiego, który chyba słusznie poszedł w kierunku kabaretu; cała ta bowiem „problematyka społeczna” w jej zwulgaryzowanym, uproszczonym rysunku („najpierw chleb a potem moralność” czy wręcz chleb zamiast moralności) oraz krytyka i satyra na ustrój mieszczański z pozycji raczej lumpenproletariatu niż proletariatu — brzmi dziś fałszywie. Najwybitniejszy u nas znawca teatru Brechta dr Roman Szydłowski, autor obszernej monografii „Dramaturgia Bertolta Brechta”, w artykule zamieszczonym w programie teatralnym do omawianego przedstawienia, pisze w zakończeniu: „Nie żądamy dziś od „Opery za 3 grosze” zbyt wiele. (...) I cieszymy się tym, co nam daje od przeszło półwiecza: radość obcowania z mądrą, dowcipną, zabawą sztuką”.

Szkoda, że obecna realizacja „Opery za 3 grosze” nie poszła w tym właśnie kierunku. Bo przedstawienie nie jest ani mądre, ani dowcipne ani zabawne. Mimo iż grają w nim wybitni aktorzy, których się ceni i których się lubi: Jan Swiderski (Jonatan Peachum), Roman Wilhelm (Mackie Majcher), Krystyna Janda (Jenny), Stanisława Celińska (Lucy), Leonard Pietraszak (Brown), Grażyna Barszczewska (Vixen), Czesław Wollejko (Jakub), Krystyna Borowicz (Celia) i in. Potęga! A przedstawienie jest niedobre. Ani „ballada podwórzowa”, ani Brechtowska drapieżność połączona z „romantyką półświatka”, ani współczesny kabaret literacki. Są kreacje (przede wszystkim „król żebraków” Peachum-Swiderskiego), są niektóre dobrze skomponowane sceny, ale reżyser nie zdecydował się na żadną określoną poetykę, łącząc pseudo-kabaret z cklwym i fałszywym melodramatem i eksponując wulgarność i brzydotę. Nawet tak rasowi aktorzy jak Janda i Wilhelm wpisali w kreowane postaci właśnie elementy „przeżywanego” dramatu i melodramatu. No i różne zaskakujące „pomysły” reżyserskie w rodzaju tej kiełbasy w rękę dyrektora londyńskiej policji Browna czy kapitalnie napisanej sceny spotkania żony Polly i „narzeczonej” Lucy w celi Mackie Majchra, przerobionej przez reżysera na jego „wizję senną”, i wreszcie niedobry finał. A te reżyserskie grzechy można by długo jeszcze ciągnąć. Wiele songów podawanych na melorecytacji lub z fałszywym akcentowaniem — wszystko to morduje urodę sztuki łącznie z jej umownością a przede wszystkim zamazuje tak cenną wartość utworu jak muzyka Kurta Weilla. Szkoda.

**A**LE dobry humor wrócił na prapremierze komedii Artura Marii Swinarskiego „Sasza i bogowie”. Jest to inteligentna i dowcipna satyra na nieopłacalny eksport idei na przykładzie zabawnych perypetii i przygód Dzeusa z rzekomym królem trackim Aleksandrem (Saszą). Jest to oczywiście komedia współczesna (ostatni utwór autora „Achilleś i panien”) z dość czytelnymi układami odniesień. No więc bardzo dobra, inteligentna literatura. I bardzo dobra, inteligentna inscenizacja i reżyseria Ignacego Gogolewskiego. I wreszcie bardzo dobra, inteligentna, przepyszna gra: Lidii Korsakówny (Héra), Tadeusza Plucińskiego (Aleksander), Zbigniewa Bogdańskiego (Dzeus), Kazimierza Bruszkiewicza (Tereźjasz), Ilony Kuśmierskiej (Tereźja) i Lecha Wierzbowskiego (Hermes). I jeszcze dwa istotne walory tego przedstawienia: muzyka Waldemara Kazaneckiego i choreografia Witolda Grucy (znakomicie wykorzystany i atrakcyjnie pokazany balet). I jeszcze jeden — nie ostatni, równorzędny! — walor przedstawienia: teksty piosenek Adama Kreczmarra. Szkoda tylko, że w drugiej części przedstawienie stopniowo „siada”, nie zostało też równie pysznie spointowane, jak pyszna jest jego treściowa zawartość.